



Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

obuwie dziecięce, damskie i męskie.

MICHAŁ MORPHY.

Tajemnica Pogromczyń.

Powieść z francuskiego.

8

Gdy się znalazł przy Monte-Leonie, rzekł doń tonem, przyprowadzającym o drzenie:

— Nie doprowadzaj mnie pan do ostateczności, bo jeżeli pan zaślubisz Aniele, to spotka pana nie-szczęście! Strzeż się pan!

Monte-Leon pokazał mu plecy ze wzgardą

— A gdybyśmy tak wrzucili tego płaża pomiędzy dwie śluzy? — zaproponował Carboniera.

Sigrist odszedł, obrzucając ostatniem spojrzeniem nienawiści obu przyjaciół.

— Złe spotkanie — rzekł Monte-Leon.

— Istotnie, ten huncwot nie ma w sobie nic wesołego... Wydał mi się jeszcze czarniejszym i okrutniejszym, niż zwykle. Szkoda, że nie można go uto-pić, jak psa wściekłego.

I z wyrazem tego żalu, wygłoszonego z bole-scią, Carboniera wziął pod rękę przyjaciela i skierował się do wyższego miasta.

— Pójdźmy do twojej dziedziczki — rzekł — to nas rozerwie.

ROZDZIAŁ X.

Odjazd.

Dzień zaślubin czworga młodych ludzi zbliżał się szybko. A jednak dla zakochanych czas oczekiwania wydawał się nieskończenie długim. Ileż obiet-nic, ile przysiąg, ile nadziei przez te dwa tygodnie!

Wreszcie wielki dzień nadszedł. Aniela ubrała się z wytworną prostotą.

Oczywiście, żadnej sukni białej i żadnych mirtów. Małżeństwo po angielsku wykluczało całą pompę officialną.

Oczekiwano w naprężeniu godziny odjazdu.

Rózia oglądała swą suknię mężatki, w jaką ubrała się po raz pierwszy. Był to podarek Anieli.

Trudno było poznać rybaczkę w tej toalecie bogatej i eleganckiej, którą jednak młoda dziewczyna nosiła z niewystawionym wdziękiem.

Monte-Leon nie posiadał się z radości. Gdy nadeszła godzina odjazdu, obie pary wyszły wesoło i skierowały się do portu. Jakże im serca były! Zwłaszcza obaj przyjaciele nie przestawali zachwycać się swoim szczęściem.

Słuchajno — rzekł Monte-Leon — pamiętasz ten wieczór, kiedyś to chciał kopnąć dwóch agentów, ażeby mieć przytułek?

— A ty czy pamiętasz ten dzień, kiedyśmy jedli surowe buraki w polu, w okolicach Paryża?

— Oj, byłabym to nędza!

— Ale zato dziś, jakże jesteśmy szczęśliwi! Spojrzeli po swoich narzeczonych z miłością, na co one odpowiedziały czułym uśmiechem.

— Przy nas zapomnieli panowie o tem — rzekła piękna Rózia.

Aniela nic nie rzekła, ale i ona obiecywała sobie szczerze kochać swego młodego męża.

I to romantyczne wesele zaczynało się pod dobrą wróżbą. Ale w chwili wsiadania na okręt, Carboniera spostrzegł jakiegoś człowieka małego wzrostu i całego w czerni, który szybko się zbliżał. Przepuścił Rózie naprzód z drugą parą, sam zaś przystanął trochę.

— To nasz kochany Sigrist — rzekł do siebie. — Miejmy się na baczności.

I poszedł wprost na niego. Ten cofnął się w tej chwili. Ale statek już miał odejść. Carboniera pobiegł zająć miejsce.

— Szpetny kruk znikł — pomyślał — to dobrze.

Byłby mniej pewny siebie, gdyby był usłyszał nienawistnego Sigrista, jak ten syknął przez zęby:

— Wymknęli mi się... Ale niech się strzegą za powrotem!

ROZDZIAŁ XI.

Ślub artysty.

Okręt przepłynął kanał niezwykle prędko. W nie-spełną godzinę młodzi ludzie spostrzegli szare wy-brzeża ojczysty John Bulla. Po załatwieniu formalności, bardzo zresztą krótkich, na komorze angielskiej, wylądowali w Folkestone, małej, schłodnej miasteczku, która, obok innych przyjemności, posiada plażę, pełną wielkich głazów i żużli.

Obie pary przebyły kilka ulic, których domy wybudowane były z cegieł; minęły dwa czy trzy pomniki, również z cegieł i przybyły do *Registrar Office*, niemniej z cegieł, co się rozumie samo przez się.

Ekspedowano właśnie parę urodzin i jedno zej-scie. Młodzi ludzie musieli czekać aż do załatwienia odnośnych aktów. Przez ten czas gruby Anglik, który towarzyszył im za pierwszej wycieczki, przy-był na miejsce. Jego obecność była bezwarunkowo potrzebną. Nastąpiła kolej związków małżeńskich. Chudy urzędnik gorączkowo załatwiał akta, podczas gdy urzędnik gruby o rozradowanej twarzy wdał się w gawędę ze swym znajomym właścicielem hotelu. Późem w danej chwili skinął znacząco na Aniele i Monte-Leona.

— Mówcie: *Aôh! yes!* na wszystko, o co was się zapyta — podszeptnął im Carboniera.

Gruby urzędnik zapytał młodych ludzi z pierw-szej pary, czy rzeczywiście chcą się pobrać.

Ci odpowiedzieli z całym zaufaniem:

— *Aôh! yes!*

Urzędnik, istotnie osobistość arcyjowialna, oświadczył im, że byli bardzo dobrani i że będą mieli bez wątplenia ładne dzieci.

A młodzi małżonkowie odparli w te pędy:

— *Aôh! yes!*

Tak, że urzędnik nazwał ich *old fellows*, co sta-nowi formułę sympatyczną, znaczącą: starzy kole-dzy (znajomi)!

Gdy Rózia pochyliła się nad uchem Anieli, ażeby jej przetłumaczyć te pogawędki, młoda dziewczyna zarumieniła się po białka i ustąpiła miejsca parze Carboniera.

Wszystko odbyło się jak najlepiej, a właściciel hotelu oświadczył nowo zaślubionym, że byłoby bar-dzo na miejscu zaprosić urzędników biura *Registrar Office* na szklaneczkę czegoś dobrego. Carboniera nie omieszkiał uczynić tych zaprosin, co zostało na-tychmiast przyjęte. I tak grupą udano się do pierw-szego *public house*, i tam, stojąc przed niezmiernie wysokim bufetem, zwrócili się z poczęstunkiem do *publicain'a*. Gruby biurokrata poprosił o sławny *stout*. Drugi urzędnik, bardzo poważny, udał się pod kranik i nalał sobie do szklanki czarnego piwa, które uznał za wymienite. *Publicain* zażądał kieliszek *ginu*.

Jego kolega widział, jak pociąga tę mocną wódkę, ostrzegł, że to będzie jego zgubą. Na co tamten odparł, że tak będzie istotnie, o ile panna Thonip-son odmówi mu swojej rączki. Carboniera ze swymi kazał podać butelkę wina Porto. Właściciel hotelu połknął odrazu zawartość olbrzymiej miary cynowej, oświadczaając, że Francuzi to ludzie ucieszeni. Późem rozstano się, jak starzy znajomi. Młodzi ludzie nie mieli już powracać. Wszak byli już po ślubie! Za-dnego mera, żadnego merostwa! A jednak zaślubi-ni! I zaślubieni legalnie, zanim nie przeprowadzą sprawy we Francji i nie wezmą ślubu kościelnego *ad libitum*.

— No, moi państwo! Szklaneczkę na cześć An-glii! — rzekł Carboniera.

Monte-Leon myślał o swej rodzinie.

— A to się moi rodzice zadziwią — rzekł — gdy się dowiedzą o moim ślubie.

Aniela zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście była już panią Monte-Leonową. Przestała wątpić do-piero pod wieczór, gdy spożywając obiad w hotelu, usłyszała z ust usługującego tytuł *lady*. Gospodarz przyszedł ich poinformować, że miał do dyspozycji gentlemanów i ich czarujących małżonek dwa apar-tamenty nadzwyczaj eleganckie. Carboniera zatrzy-mał je niezwłocznie, gdyż przypomniał sobie o Si-griscie i wołał wrócić do Boulogne nazajutrz. Po-stanowiono, iż dom w Boulogne zostanie sprzedany i że wszyscy przeniosą się do Paryża.

Obiad się skończył i młodzi ludzie naglili swoje małżonki do zwiedzenia wynajętych mieszkań. Aniela i Rózia dowodziły, że nie jest jeszcze późno. Ale Carboniera oświadczył stanowczo, że w Anglii ludzie kładą się spać wcześniej; na taki argument panie ustąpiły, byle się zastosować do obyczajów miej-scowych. I wszystko przypuszczać każe, że noc spęd-zono bardzo dobrze, beztrwożną i może bezsenną!

ROZDZIAŁ XII.

Powrót.

Nasi młodzi małżonkowie sądzili zapewne, że dość jest stosować się do zwyczajów miejscowych, kła-dąc się spać wcześniej, wstali bowiem o takiej po-rze, że właściciel hotelu uznał ją za nieco spóźnioną. Ich śniadania stygły już oddawna, gdy weszli na salę. Ze jednak młodzi małżonkowie miewają zwy-kłe świetny apetyt, nic przeto nie pozostało nieba-wem na stole.

Przygotowywano się do odjazdu. Obie pary u-po-jone były szczęściem bez granic. Aniela i Rózia opierały się mocno na rękach swoich mężów i cwi-czyły się w tykaniu dotychczasowych panów. I były to miłutkie pogawędki o tem i o owem, płoszone śmiechy, nagłe rumieńce, a niekiedy, na skrętach pu-stych ulic, czułe całuski — nie zawsze w czoło. Slicznie to było.

Czas był brzydki, ale zakochani nie spostrzegli tego wcale. Wiatr wył niekiedy gwałtownie. Morze musiało być wzburzone. Doszedłszy do portu, za-pytali się, kiedy statek odpływa. Odpowiedziano im, że to kapitan zadecyduje, czy wogóle przejazd się odbędzie. Przez ten czas młodzi ludzie zainstalo-wali się z komfortem we wspaniałej sali, danej do rozporządzenia podróżnych przez towarzystwo an-gielskie. Grzejąc się przed szerokim kominkiem na miękkich fotelach, mogli stwierdzać dobrodziejstwo angielskiego komfortu. Co za różnica pomiędzy tym salonem, a opłakanymi poczekalniami pierwszej klasy w towarzystwach francuskich! Carboniera wyciągnął się majestatycznie na jednej z kanap i lornetował z miłością drogą, młodą żonę.

Nareszcie odjazd został zdecydowany. Zajęto miejsca. Czas był mniej opłakany. Zaledwie odbito od brzegu, gdy steamboot jął skakać w sposób nie-pokojący. Nasi podróżni, którzy dotąd oparli się chorobie morskiej, musieli, radzi nie radzi, ofiarować zawartość swoich żołądków rybom z Pas-de-Calais.

Ta mała część Oceanu należała do najniebezpiecz-niejszych z chwilą rozchulania się wiatru. Wypły-wano na pełne morze. Wiatr zaczął dąć wściekle. Zaczęła się burza. Młodzi ludzie zeszli do salonu, ale niebawem nie podobna było pozostawać na miej-scu. Nagłe ruchy statku zrywały podróżnych z krze-seł i odrzucały ich z niesłychaną gwałtownością. Wypadło trzymać się filarów i poręczy schodów. Carboniera, który doznawał niepokoju żołądka, po-biegł ukryć się ze swoją przygodą.

Morze przedstawiało widowisko zatrważające. Bałwany wznosiły się na kolosalną wysokość i nie-kiedy statek, przechylony w bok, miał nad sobą zamiast nieba opary wód, poczem wypływał znowu na powierzchnię. Maszyna stawała się niedostateczną